

Zygmunt Bauman

Ludzie (w) ruchu w świecie przywództwa *ad hoc*

Możliwe, że ubiegły rok 2011 historia odnotuje jako „rok ludzi w ruchu”.

Gdy ludzie są w ruchu, nasuwają się dwa pytania. Pierwsze: przed czym umykają? Drugie: dokąd zdążają? Na pierwsze pytanie odpowiedzi nie brak, mamy ich w gruncie rzeczy aż nadto – przemyślanych i byle jakich, poważnych i żartobliwych, wiarygodnych i chimerycznych. Na próżno wszakże szukamy dotychczas odpowiedzi na pytanie drugie. Wszyscy ich szukamy, nie wyłączając Szuka każdy z nas, a zwłaszcza sami ludzie w ruchu.

Niczego w tym zaskakującego. Właśnie tego należy się spodziewać w czasach, które Antonio Gramsci określił kiedyś mianem *interregnum* czyli „bezkrólewia” (termin niesłusznie i stanowczo zbyt długo w zapomnieniu pograżony, szczęśliwym trafem wydobyty niedawno z zapomnienia, odkurzony i wypełniony nową treścią dzięki profesorowi Keithowi Testerowi). Są to czasy, w których piętrzą się świadectwa nieskuteczności dawnych, znanych i sprawdzonych sposobów radzenia sobie z problemami, podczas gdy daremnie szukać sposobów gotowych do ich zastąpienia; wszystkie one – zbyt eteryczne są i niedojrzałe by je zauważyć, a zauważywszy potraktować poważnie.

Rosnące i prawdopodobnie nieuleczalne słabości współczesnej „realnej władzy wykonawczej” już dawno dostrzeżono. Są zbyt rażące, by można je było przeoczyć. Głowy najpotężniejszych rządów spotykają się w piątek i debatują nad właściwą linią postępowania, tylko po to, by w bojaźni i z drżeniem wyczekiwać poniedziałkowego otwarcia światowych giełd, kiedy to dowiedzą się, czy ich postanowienia mają ręce i nogi. Istotnie, obecny stan bezkrólewia nie zrodził się wczoraj i nie jest bynajmniej zjawiskiem świeżej daty. Jego natrętna obecność nie tylko była już sygnalizowana, ale też została rozpoznana i owocowała rosnącym deficytem zaufania do aktualnych wehikułów zbiorowego działania, wyrażanym przez spadające zainteresowanie zinstytucjonalizowaną polityką i szerzące się nieustępliwie poczucie, że ratunek, jeśli w ogóle możliwy, nie nadejdzie i nie może nadejść z góry.

Można dodać, że kierowcy i kontrolerzy wspomnianych wehikułów, wspólnie lub w pojedynkę, przez długi czas robili wszystko, co w ich mocy, by zaufanie publiczne pozbawić przystani. Dyskredytowali i wydrwiwali zasługi i osiągnięcia działania wspólnotowego, nie pozwalając zaufaniu zarzucić kotwicy – co i rusz sztorcując mężczyzn i kobiety, że ich problemy, nawet jeśli przeżywane wspólnie,

przyczyny mają zgoła jednostkowe i w związku z tym powinno się im stawiać im czoła indywidualnie i przy użyciu indywidualnych środków je rozwiązywać.

Można przyjąć, że ludzie wiedzą (a przynajmniej mają wystarczająco dużo okazji, by zgadnąć lub podejrzewać), *przed czym* uciekają. Wiedzą na pewno, lub przynajmniej mają dobre powody po temu, by sądzić iż wiedzą czego *by nie* chcieli, by dalej się działo. Nie wiedzą jednak, co należałoby zrobić *w zamian*. Co ważniejsze, nie mają pojęcia, *kto* mógłby wykazać się mocą i wolą wystarczającymi do podjęcia wymaganych kroków. Przesłania i wezwania z Twittera i Facebooka wzywają ich i wysyłają na place, by protestowali przeciwko „temu, co jest” – nadawcy milczą jednak co do tego, jakie mianowicie „być powinno” miałyby zastąpić „to, co jest” – lub przedstawiają alternatywę w dostatecznie ogólnikowych, niewyraźnych, ledwie naszkicowanych i mglistych, a przede wszystkim „elastycznych” ramach, by zabezpieczyć się przed zeszywnieniem którejkolwiek z mglistych obietnicy w konkretny punkt programu. Zachowują także ostrożne milczenie w drażliwej kwestii spójności czy być może niespójności swoich żądań.

Nadawcy z Twittera i Facebooka mogą zaniechać takiej ostrożności tylko ryzykując klęskę sprawy, którą promują. Gdyby zlekceważyli spiżowe reguły cyfrowej mobilizacji i strategii *from-online-to-offline*, ryzykowaliby, że ich inicjatywa będzie albo martwo narodzona albo zemrze bezpotomnie: nie wielu wzywanych do czynu zejdzie się na publicznych placu, jeszcze mniej rozbije tam namioty, a tylko w całkiem już nielicznych namiotach osiądą ich lokatorzy na dłużej.

Ludzie w ruchu zajęci są oczyszczaniem placów budowy w oczekiwaniu na inne zagospodarowanie przestrzeni. Tę pracę ludzie w ruchu wykonują, a przynajmniej próbują, z oddaniem, wykonać. Budynki, mające zastąpić te dziś opuszczane i/lub demontowane, trwają jednak jak dotąd na licznych prywatnych deskach kreślarskich i żaden z nich jak narazie nie dotarł do fazy faktycznego planowania. Tak naprawdę nie położono jeszcze nawet fundamentów pod biuro, które miałyby się tego planowania podjąć. Załogi oczyszczające place budowy wyraźnie wzrosły liczebnie, ale budownictwo nowych domostw i biur pozostaje daleko w tyle – i dystans między jego potencjałem a ogromem zaniedbanych robót budowlanych rośnie niepowstrzymanie.

Aż nazbyt wyraźna niemoc i nieadekwatność istniejącej maszynarii politycznej to jak dotąd najsilniejszy bodziec skłaniający rosnącą liczbę ludzi do pospolitego ruszenia. Jego moc integrująca ogranicza się jednak do operacji oczyszczania gruntu. Nie sięga ona projektantów, architektów i budowniczych przyszłego osiedla. Znamieniem naszego „bezkrólewia” są demontaż i kompromitacja instytucji obsługujących dotychczas procesy artykulacji i komasacji publicznych wizji, programów i projektów. Poddane, wraz z resztą społecznej tkanki ludzkiego

współzycia, procesom deregulacji, fragmentaryzacji i prywatyzacji – instytucje te odzierane są ze znacznej części swojej mocy sprawczej, autorytetu i wiarygodności, pozostając z nader mglistą jeno szansą ich odzyskania.

Jakakolwiek twórczość jest nie do pomyślenia bez poprzedzenia jej lub równoległe z nią zachodzącego aktu zniszczenia. Ów akt zniszczenia nie determinuje jednak sam przez się natury aktu twórczego, jaki ma po nim nastąpić, ani nawet nie czyni owego następstwa nieuchronnym. Jeśli idzie o sieć instytucjonalną, a zwłaszcza o wehikuły kolektywnych i zintegrowanych przedsięwzięć, to można powiedzieć, że 2011 przyczynił się wydatnie do zwiększenia liczby i wydolności dostępnych buldożerów, gdy tymczasem produkcja dźwigów i innego sprzętu budowlanego utknęła w przewlekłej recesji, a ich istniejące zasoby pozostawiono bez przydziału i w bezruchu, zamykając je w magazynach w oczekiwaniu bardziej sprzyjających, ale jakoś nie spieszących się z nadejściem czasów.

Rosnący rozziw między społeczną świadomością tego, co powinno (wedle naszych oczekiwań) zostać zatrzymane, porzucone lub usunięte, a społeczną świadomością tego, co powinno (wedle naszych oczekiwań) owe coś zastąpić, był jedną z najwyraźniejszych znamion ubiegłego roku. Inną istotną cechą była konfrontacja rosnącej mocy integracyjnej protestu z rosnącym wpływem dezintegrującym lansowanych politycznych programów lub ich braku.

Im głębsze i trwalsze okażą się następstwa „roku ludzi w ruchu”, tym bardziej prawdopodobne jest zapisanie się nadchodzącego roku w historii jako roku eksplozji konfliktów społecznych oraz dyslokacji płaszczyzn styku i frontów bitewnych. Faza „oczyszczania gruntu” zdołała z powodzeniem przytłumić lub przynajmniej odsunąć na tor boczny artykulację płataniny pstrych, wyraźnie antagonistycznych wzajemnie interesów ludzi wezwanych do udziału w proteście. Protesty mogły być tak tłumne jak były tylko pod warunkiem czasowego przesłonięcia i przytępienia społecznych sprzeczności – a w rezultacie odroczenia ich krystalizacji, artykulacji i manifestacji. Gdy bezpośrednie cele protestów, które wprawiły ludzi w ruch, zostaną osiągnięte, cienka powłoka jedności zostanie najprawdopodobniej podarta na strzępy, obnażając i wystawiając na pokaz kryjące się pod nią podziały i ujawniając nieprzygotowanie aktorów niepewnych własnej tożsamości społecznej i społecznych interesów (co mogliśmy niedawno obserwować w przypadku drugiej odsłony „egipskiej wiosny” – i co prawdopodobnie zaobserwujemy jeszcze w Libii czy Tunezji).

Nadchodzący rok może się okazać momentem krytycznym w dziejach bieżącego bezkrólewia. Przy coraz wyraźniejszych podziałach społecznych, szukających struktury politycznej, w jakiej mogłyby znaleźć odbicie wraz z narzędziami politycznymi, zdolnymi do ich obsługi, najistotniejsza, definiująca w istocie właściwość „bezkrólewia” (to mianowicie, że może wydarzyć się w nim może cokolwiek, ale niczego nie da się w nim dokonywać z pewnością rezultatu) może objawić się

z niespotykaną dotąd siłą i dalekosiężnością konsekwencji. Przymierza zawarte w fazie oczyszczania gruntu (tęczowe koalicje sprzecznych interesów, notorycznie skłonne do rozpadu, gdy tylko ustanie trzymająca je razem moc rozpędu) mogą się rozpaść z miejsca lub nawet eksplodować, ujawniając wszechobecnie właściwą im naturę małżeństw nie z miłości lecz z wyrachowania. Faza oczyszczania gruntu nie wymaga silnych przywódców: przeciwnie, silni liderzy o wyrazistej wizji i zdecydowanych poglądach grożą doprowadzeniem tęczy koalicji do rozpadu zanim zadanie oczyszczania gruntu zostanie doprowadzone do końca. Rzecznicy ludzi w ruchu mogą (choć niekoniecznie ze słusznych pobudek) deklorować swe zadowolenie z braku zapotrzebowania na przywódców – ukazując taki stan rzeczy jako oznakę politycznego postępu i jedno z jego największych osiągnięć. Władimir Putin, ogłaszając (prawdopodobnie przedwcześnie) klęskę masowych buntów publicznych przeciwko lekceważeniu, z jakim rosyjskie władze traktują swój elektorat, trafił w sedno, twierdząc, że ta rzekoma klęska opozycji spowodowana jest brakiem lidera zdolnego do sformułowania programu, który protestujący mogliby przyjąć i przy którym skłonni byłiby trwać.

Przywódcy tworzonych *ad hoc* koalicji sami mogą być tylko przywódcami *ad hoc*. Nie jest to atrakcyjne zadanie dla ludzi z rzetelnymi zdolnościami przywódczymi, wyposażonych w coś więcej niż fotogeniczny powab, talent do matactwa i smykałka do samoreklamy. Każdy zestaw zewnętrznych okoliczności tworzy swój własny zestaw realistycznych dla indywidualnego wyboru opcji, ale każda opcja powołuje do życia swoistą kategorię potencjalnych na nią amatorów. Jawnie bezsilna polityka nacelowana głównie na utrzymywanie publiki w bezpiecznej od siebie odległości, sterowana przez speców od przekrętów i inspicjentów fotogenicznych okazji, nie pociąga osobowości z wizją sięgającą dalej niż data najbliższych wyborów; osobowości niezbędnych dla przywódców politycznych w odróżnieniu od operatorów politycznej maszyny. Nie o to idzie, że potencjalni przywódcy polityczni przestali się rodzić; idzie o to, że psujące się i popadające w stan dekadencji, coraz bezsilniejsze polityczne struktury nie stwarzają warunków dla ich dojrzenia.

Kilka już miesięcy temu setki tysięcy, a być może ponad milion osób wyszło na ulice i place Pragi, by pożegnać Václava Havla – według wielu obserwatorów ostatniego z wielkich przywódców polityczno-duchowych (duchowych w dużej mierze dzięki swej politycznej wielkości, a politycznych w dużej mierze dzięki swej wielkości duchowej), podobnych któremu nie będzie nam danym uświadczyc przez resztę naszego życia. Nie doświadczymy też takiej liczby ludzi na ulicach, wiedzionych wdzięcznością i szacunkiem dla męża stanu miast pchanych na ulice przez powszechne oburzenie, poczucie krzywdy i pogardę dla ludzi władzy „tej, jaką znamy”. Odejście Havla nie było postrzegane przez żałobników jako wydarzenie dodające sił bezsilnym, ale zdarzenie pogłębiające

jeszcze ich stan opuszczenia, zagubienia i wzajemnej niezgody. Odejście polityka znanego pod imieniem Wacława Hawła, w całkowitej opozycji do politycznych dymisji, których żądają rozmaite *movimientos los indignados* – było oplakiwane. To odejście nie dodało ludziom sił, lecz uczyniło ich słabszymi.

Być może miara „za naszego życia” wyznacza przesadnie wydłużoną perspektywę czasową, by się do użytku w płynnych i kalejdoskopowo zmiennych warunkach bezkrólewia nadawała. Jednym z prawdopodobnych skutków przejścia od stadium „demontażu” do fazy „budowania” w czasach bezkrólewia może być – ale tylko może – uczynienie naszych warunków bardziej otwartymi i gościnnymi dla na poły zapomnianej sztuki politycznego i duchowego przywództwa, a niegościnnymi i mało pojętymi dla sztukmistrzów pozoru, matrymonialno-rozwodowych maklerów, masażystów prawdy i mistrzów gry w udawanie.